



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

MAJĄTEK. ¹⁾

Czy majątek wzbogaca życie nasze? Lubbock, stawiając to pytanie, odpowiada zaraz, że w jego przekonaniu człowiek, który według przysłowia, rodzi się ze srebrną łyżką w ustach, nie jest jeszcze przez to nic bliższym szczęścia. Majątek sprowadza nieraz ludziom więcej trosk, więcej kłopotów, niż ubóstwo, a zawsze więcej obowiązków do spełnienia, choć zapewnienie spokojnego bytu, zwłaszcza w wieku późniejszym, jest wielkim darem Fortuny.

Ambicya przybiera często pozór zamiłowania pieniędzy. Ludzie niemogący się odznaczyć niczem w zakresie sztuk, nauk, na polu czynów obywatelskich, pragną błyszczeć choć przez takie wyniesienie, jakkolwiek jest ono najmniej zaszczytne, i próżność oparta na posiadaniu majątku, próżność chępiąca się z tego strojem, życiem wiedzionem zbyt kownie, jest najniebezpieczniejszą formą miłości własnej i dodać trzeba—jest świadectwem nizkości ducha.

Na to każdy zapewne zgodzi się z Lubbockiem, bo człowiek wynoszący się nad innych na zasadzie posiadanego majątku nie pojmuje snadź innych, wyższych ideałów życia, i ztąd-to pochodzą ów brak sympatyj dla tak zwanych dorobkiewiczów, ich ośmieszanie, a często nawet dostająca im się pogarda ludzka. Ubóstwili oni złotego cielca, w pieniądzech posiadanych mieszcza dumę swoją: więc ten pierwiastek szlachetniejszy, który, mimo wszystkich wad pojedynczych jednostek,

tkwi w łonie ludzkości, stawia tu odpór i podnosi veto swoje. Nikt chyba nie ośmieli się szydzić z człowieka, który może powiedzieć i mówi śmiało: — Pracowałem uczciwie, oszczędzałem rozumnie i teraz używam zarobionego mienia.. Ale każdy żebrak uliczny może się rozśmiać z lichego pyszałka, który, opierając godność swoją na pełnej kieszeni, nosi głowę wysoko i chce ją podnosić nad innych — lepszych, dostojniejszych od niego.

Posiadania majątku nie można też nazwać bezwzględnie drogą wiodącą do szczęścia. Majątek daje pomoc materialnym stronom życia, ułatwia je i usuwa zprzed nóg człowieka wiele zawad, które ubogi musi mozolnie znosić, lub obchodzić je uciążliwie, ale z drugiej strony pieniądz niejedną z nich tworzy, przez niejedną z nich pochód nasz przez życie utrudnia. Pieniądz bardzo często rozbudza nienasycone pragnienie pieniędzy. Emerson twierdzi, że człowiek, który raz postawił sobie za cel życia zbieranie grosza, robienie majątku, staje się prędko podobnym do pijaka, który im więcej pije, tem więcej pić pragnie, i jest tak nierządno, niemal zawsze, jeżeli mienie, którego pożądamy, nie przedstawia nam się jedynie jako środek w dążeniach naszych do szczęścia. Zbierać pieniądze, aby coś za nie nabyć, coś sobie zapewnić, czego użyć, jeszcze nam duszy nie poniża miłością pieniędzy, bo jeszcze nie czyni nam z nich bezpośredniego celu zabiegów naszych, ale jest tu już niebezpieczeństwo nabycia nałogu, który staje się często tak w tym, jak w innym kierunku, kleszczami, niechęciami wypuścić raz ujętego łupu. Gdzie jest twój skarb, tam jest twoja dusza... i człowiek potrzebuje baczyć pilnie, aby to, co czynił długo pragnień, pożądań swoich skarbem, nie przykuło mu do siebie duszy nazawsze.

Można też twierdzić napewno, że łatwiej jest majątku się dorobić, niż go potem dobrze używać, niż go nawet utrzymać i było tak od czasu, od kiedy człowiek doszedł do tego, że mienie posiadane na

zapas gromadzić począł. Przechowywanie posiadanego majątku jest też niewątpliwie rzeczą nielekka, jest rzeczą mozolną. Nie używać go—jest to jakgdyby go nie posiadać, a przy używaniu jakże pilnować się trzeba, aby go nie utracić, co jest nierządno trwogą, gnębiącą tych, którzy długo zbieraniu się tylko oddając, nie nauczyli się patrzeć na pieniądz inaczej, jak tylko na coś, co naruszonem być nie powinno. I na odwrót ci, co zbyt wiele wydawali, lękają się czy dość oszczędzać potrafią. Seneka pisze o pewnym Apicyuszu, który, przepuściwszy na zbytki wielką fortunę, lecz mając jeszcze 250.000 sestersów, powiesił się z trwogi, że może mu tego do końca życia nie starczyć.

Człowiek, który w trwodze przed ubóstwem, chce wszystko, czego-by mógł użyć, oddać dla zamienienie w złoto, jest jak ten król Midas, który prosił Bogów, aby złotem stawała się rzecz wszelka, której dotknie. I chleb, który chciał jeść, wino które chciał pić, złotem były—złotem, twarzą jego bryłą stawało się łożo, na którym legł zmęczony, osłabły, nie napasiony, nie napojony przez złoto!..

Majątek nie posiada żadnej innej wartości nad tę, którą mu dajemy przez takie, a nie inne jego użycie. Można wprawdzie powiedzieć to samo o wielu innych skarbach człowieka—o jego wiedzy, sile, piękności — wszystko to może zostać zmarnowanym przez złe użycie lub nie-użycie; wcale przecież majątek nie używany staje się w dodatku gniotącym nas ciężarem, bo posiadacz nie korzystający zeń, czyni się zwykle troskliwym skarbów swych stróżem i męczy się, trudzi ciężko bez żadnej za to zapłaty, bez nagrody żadnej. Solon dowiódł tego Krezusowi mówiąc: — Ktoby miał w rękę mocniejszy niż ty kawał żelaza, zabralby ci wszystko złoto twoje.

Kto ukocha w pieniądzu to tylko, że jest pieniądzem, niech sobie przypomni ową przypowieść o Arabie,—który znalazł w pustyni worek pereł,

(1) The Pleasures of Life, by John Lubbock.

Zapłakał nad nimi, bo nie dały mu ani jeść, ani pić, choć był głodnym i łaknął, — tylko też ten sposób, w jaki używamy majątku, wartość mu daje. Jest w nim niewątpliwie zamknięta siła wielka, ale posiadacz wydobyć ją z niego musi, i gdy tak nie jest, powiedzieć mu można, że utracił z miernia swego to wszystko, czego nie wziął sobie zeń w potęgę, w rozkoszy używania władzy dobroczynnej, w czynach procentujących się wdzięcznością bliźnich, w stwarzaniu rzeczy pięknych, i skoro się pomyśli o tem wszystkim, co bogacz, gdy jest skąpym, nie osiąga, osiągnąć mogąc, żałuje go się tak, że litość staje się wyższą od pogardy, jaką zwykle czujemy dla ludzi takich.

Łatwo jest przecież przecenić korzyści posiadania pieniędzy. Dobre jest je mieć i warto nawet pracować na ich zebranie, bo wiele za nie nabyć można, ale nie tyle, ile nieraz wyobrażamy sobie, i rzadkokiedy odpłacają nam się dostatecznym procentem za kapitał sił naszych, włożony w ich zbieranie, w ich utrzymywanie. Jest stare przysłowie — szkoda, że Lubbock nie podaje, który naród je posiada — że złoto można nieraz kupić za drogo... i za drogo niewątpliwie nabywamy je za cenę poniżenia naszego charakteru, spodlenia naszego ducha, oddania zaś świętych uczuć naszych miłości, naszych wierzeń i nadziei, których zrzekamy się byle za nie nabyć złoto — otrzymać pieniądze, mający usłać nam różami używania drogę życia. Ale nie idąc nawet tak daleko, czy nie mylimy się, jeżeli chcąc pozyskać bogactwo, które daje możność swobodnego używania życia, poświęcamy dla tego celu całą życia swobodę? Kto tak czyni w pogoni za jakąś choćby mrzonką szlachetną — filantrop, poeta, sztukmistrz, ten już w samej pracy swojej znajduje pokrzepiające go źródło szczęścia, bo kocha to, za czem goni, i miłości to swojej oddaje ten trud, nagrodzony zawsze dostatecznie, przez to już, że miłość uczuwana kazała sercu jego bić gorąco i ogrzała jego istotę wewnętrzną tym zapalem, bez którego niema szczęścia, bo niema rzeczywistego życia na prawach dla istnienia ludzkiego ustanowionych, ale tylko życie zwierza lub rośliny — trwanie, vegetowanie. Kto pracuje dla wziętku jedynie, dla zarobku, znajduje się na pochyłości, po której łatwo jest stoczyć się bardzo nisko, i Lubbock wyraża się silnie, że praca taka, praca dla grosza, niezwiązana z jakąś ideą, z uczuciem jakiemś, czyni ludzi ubogimi na duchu.

Może należałoby tu dodać, że praca mniej więcej mechaniczna, praca na grosz, nawet dla celów pocziwych, dla takich obowiązków, jak utrzymanie rodziny łożona, powinna mieć ograniczenia, odetchnienia pewne, aby człowiek nie stał się przez nią kółkiem w maszynie, czemś poruszającym się biernie pod siłą nacisku zzewnątrz. Ducha swego nie wolno jest nikomu w sobie zabijać i szkoda, że Lubbock pominął tu tę stronę rzeczy. Bardzo wielu ojców rodziny, zwłaszcza mężów żon egoistycznych, popełnia na sobie to samobójstwo. Jest stara, satyryczna piosenka nasza, w której żona woła na męża: — Sprzedaj fraczek, sprzedaj duszę — ja na balik jechać muszę... i nie jest to, niestety! zupełną nieprawdą, lecz tylko prawdą sparodyowaną. Niejedną kobietą młoda, rozpieszczona przez rodziców, nienauczona poddawać chęci przyjemnego używania pod prawo powinności i danych życia, tak się nieraz do męża, choć innemi wyrazami odzywa — Odzywa się podobnie i wtedy, gdy chce zapewnić dziecku swemu wychowanie nad stan, to jest nad możność. Nie wzrusza mnie nigdy to, co wiele osób nazywa ślepą miłością matek dla dzieci, bo rzecz ta przedstawia mi się zawsze jako prosty instynkt przez naturę w pierś wszelkiej matki wmieszczony, a nie podniesiony do godności uczucia ludzkiego, które nie może — nie powinno być bezrozumnym i prawa innych, równie świętych obowiązków łamiącym. Wiele kobiet, zwłaszcza tych, które za mąż szły bez miłości, tylko dla interessu, aby mieć stanowisko i groszorość, pracującego na nich, tak potem kocha dzieci bez względu na to, co tu już jest, jeżeli nie tkliwości serca, to uczciwości nakazem. Mąż przecież nie powinien poddawać się temu, obowiązkiem jego —

obowiązkiem świętym, dać żonie i dzieciom możliwie wygodne utrzymanie, możliwie dostępną w jego położeniu naukę; ale obciążony grzechem sumienie żony, dzieciom wyświadczy złą przysługę, jeżeli, chowając je, kształć nad możność rozumnie, uczciwie pojętą, wytworzy z nich egoistów, nauczonych żyć kosztem gorącego potu ojcowskiego. Kto uważnie patrzy w życie, widzieć może niemało takich tragedii, z zakończeniem dla moralnej strony tak chowanych dzieci okrutniejszym, niżgdyby, jak w tragedii na scenach teatralnych, ktoś sobie piersi sztyletem przesywał.

Eurypides ze smutnym cynizmem napisał, że majątek umie jednać ludziom przyjaciół, co jest prawdą, lecz połowiczną tylko. Tłum ludzi popolity nie tyle, zdaniem mojem, kłania się majątkowi ludzi bogatych, ile lubi używać przez stosunek z niemi przyjemności, na jakie majątek ten pozwala — lubi się bawić kosztem ludzi bogatych i potem też, gdy o nich przy zmianie losu zapomina, czyni jak to ptactwo, zrywające się z łanu zboża, którego ziarno obleciało.

Pieniądz nie jest przecież z natury rzeczy tak pogardy godnym, jak to wielu głosi się nieraz. Poeta angielski — Shelley, który bynajmniej chciwym i łapczywym na grosz nie był, powiada w pamiętnikach swoich:

— Pragnę mieć pieniądze, ponieważ myślę, że umiałbym ich używać. Pieniądze mogą być motorem w rozwoju pracy, pieniądze mogą udzielać odpoczynku spracowanym, a kto umie obrót ich uczynić takim wraz z rozkrzewianiem prawdy, obdarowywa społeczeństwo największym darem, jakie jednostka uczynić może ogółowi.

Pracujący nie powinien się bynajmniej wstydić, jeżeli praca jego przyniesie w zysku bogactwo; nie ma profesyi uczciwie spełnianej, która by przez zarobek przynoszony poniżej mogła i Lubbock przytacza tu napis, znajdujący się w Wenecyi, w kościele S-go Giacomo na Rialto, że prawem kupca jest być uczciwym, używać wag sprawiedliwych i być w zobowiązaniach swoich wiernym — co zapewne ma znaczyć, że rządzą tym kupującym takiesam prawa moralne, jak każdym człowiekiem, od magnata do żebraka i nie wolno żadnemu z nich oszukiwać bliźniego swego.

Człowiek, który kocha pieniądze dla posiadania go tylko, który go nie używa z namiętności do tego posiadania, jest najnędzniejszą pod słońcem istotą. Poangielsku skąpiec nazywa się „Miser“ i Lubbock nazywa ten wyraz głęboko filozoficznym, bo skąpiec — zbieracz pieniędzy dla samego kochania się w nich — jest najmizerniejszą, najnędzniejszą pod słońcem istotą.

Bogacz ma wprawdzie zapewnione mu przez jego pieniądze przywileje używania rozkoszy wyższych: może nabywać przedmioty, sztuki, gromadzić książki, słyszeć wyborową muzykę; ale kto poczucie piękna nosi w sobie, znajdzie jego zadowolenie w wielkich obrazach natury i *Przemienienie Pańskie* Rafaela, *Ostatni Sąd* Michała Anioła, nie są piękniejsze, od widoku wschodzącego słońca, od widoku niebios, usianych gwiazdami — od widoku morza, gdy podnosi w głębokiem odetchnieniu swego łona spiętrzone wód bałwany. Przyroda, wspólna matka bogacza i żebraka, mieści bez różnicy stanów w piersiach ludzkich zdolności i talenta, więc wyposaża wszystkich zarówno w skarby, ubogacające nam życie, i niech tylko człowiek sam braterstwa ludzkości nie rozrywa, nikt wydziedziczonym nie będzie i, przemieniając słowa poety: „Nikt nie jest bogatym w ubogim narodzie“ można będzie powiedzieć: — Nikt nie jest ubogim wśród bogatej ludzkości.

Maryja Ilnicka.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Obie dziewczynki nacieszyć się nim nie mogły. — A kiedy pan przyjechał?.. pan do nas przyjechał?.. długo pan z nami zostanie?.. pan tu już był kiedy?..

Zasypywały go pytaniami, nie czekając odpowiedzi.

— My panu pokazemy fabrykę — obiecywały mu — my tu już wszystko znamy, wszyscyścieńko!..

Tocia podniosła swój zadarty nosk jeszcze bardziej w górę i niby-to z wielką dumą mówiła:

— Oho, ja już teraz nie potrzebuję pańskich cukierków; my tu mamy cukru tyle, ile zechcemy. My sobie teraz codziennie robimy takie kulki z karmelu.

— A pan wie, jak się to robi? — wtrącała się Mania — to tak nad świecą się topi, wie pan?.. jakie to dobre, ha!..

— My panu to zrobimy dziś w wieczór przy herbacie, dobrze?

— Pan tego pewnie jeszcze nigdy w życiu nie jadł.

— A Szarpaja pan widział?

— Któż to jest Szarpaj?

— Pan nie wie, kto jest Szarpaj!.. słyszysz Tocia?.. Szarpaj to jest największy pies w całej fabryce.

— W całej okolicy! — poprawiła ją starsza siostra.

W ten sposób odrazu zaczęły go obznajmiać ze wszystkimi osobliwościami miejscowemi, z całym trybem życia i ćwierkały do niego przez sztachety, obiecując mu ciągle coś nowego pokazać; oprowadzić go wszędzie, opowiedzieć dużo, dużo ciekawych rzeczy, które tu widziały.

— O, pan tu musi zostać jaki tydzień z nami.

— Dwa tygodnie!

— Trzy.

— Cztery.

— My pana nie puścimy tak prędko!..

Krzysiowi oczy się śmiały na samą myśl takiej miłej niewoli, choć wiedział, że już mu jutro albo pojutrze wracać wypadnie.

Cała fabryka spoczywała na jego głowie.

Karol z żoną i siostrą bawił od paru tygodni za granicą. Interessa nie pozwalały mu wcześniej wyjechać, miał przedtem do załatwienia tyle spraw kłopotliwych, do wyrównania tyle rachunków po Jańskim; musiał uwijać się szybko, aby pozacierać ślady swojej nieprzezorności, nie chciał, aby nazwisko jego łączono z nazwiskiem bankruta.

Jakaś ambicja i wstydlivość kazały mu jak najprędzej wycofać się z tej fatalnej sprawy. Zebrał z pewnym ryzykiem znacznieszą gotówkę i cichaczem wykupił wszystkie wexle, zlikwidował wszystkie należności, które ciążyły na nim, jako na poręczycielu.

Kosztowało go to dużo pieniędzy, ale swobodnie odetchnął, gdy się już ostatecznie załatwił z tą czynnością i nabrał przekonania, że świat nie dowie się więcej, ile frycowego zapłacić musiał za swoją nieogłędność.

Wszystkiego nie dało się ukryć. W świecie przemysłowym mówiono sobie:

— Fatt płaci za Jańskiego gotówką.

— Na dużo go zarwał?

— Kto wiel.. uwinął się tak szybko, że ani jednego żera swojego nie zostawił.

Starsi kręcili głową, młodzi się uśmiechali złośliwie.

-- Karolek sprytny!.. szasta pieniędzmi, aby swoją solidność zareklamować.

-- Gdzie tam! — wtręcał inni — wstyd mu, że się dał złapać tak głupio.

Niektórzy, mniej dyskretni, nagabywali go, wprost zapytaniem:

— Czy to prawda, żeś pan tak grubo beknął za Jańskiego?

Wzruszał ramionami i odpowiadał z miną lekceważącą:

— Głupstwo!.. jakieś tam kilka tysięcy z rachunków fabrycznych.

— Więcej nie?..

-- A zkądżeż?.. nie mnie brać na kawał!

— Bo jakoś mówią...

— Ba! mówią!.. niech pokażą choć jeden mój podpis.

Nie chciał przyznać się do swego niepowodzenia i ratował pozory.

Kiedy nareszcie uciszyło się trochę po sensacyjnym samobójstwie, Karol, podniósłszy za zgodą ojca depozyt Lizy, zabrał żonę i siostrę i wyjechał zagranicę.

Potrzebował sam wypoczynku i wytchnienia po doznanych wstrząśnieniach.

W wigilię wyjazdu spędził jeszcze bardzo miły wieczór u swojej interesującej przyjaciółki, ale już bez Tonia i Znajemskiego.

Wila zaprosiła go, aby obejrzał nowo urządzonej jej budoar w stylu wschodnim, do którego pozwoliła mu dostarczyć „kilka drobiazgów“.

Tonio, który „przypadkowo“ wpadł do niej po południu tegosamego dnia, aż w ręce pisał z podziwu; siadał kolejno na wszystkich ottomanach, pokrytych perską materją, na wszystkich poduszkach atlasosowych, dotykał każdej makiety na ścianach, wreszcie z figlów tarzał się jak wyżeł po miękkim dywanie, który zastąpił stare, łokciowe pokrycie podłogi.

— No, no! — powtarzał wśród wesołego śmiechu, pozwalając sobie na złośliwe alluzje -- i pomyśleć, że to wszystko mocne jak z żelaza, a ładne, jak z cukru.

Tupnęła nóżką z irytacją:

— Tonio!.. tylko żadnych takich domysłów!.. bardzo proszę.

— Albo co?.. czy to chwalić nie można? — wykręcał się — zkąd znowu taka drażliwość na cukier i żelazo?.. powiadam, że mi się to dyabelnie podoba i używam porównań *sans arrière-pensées*.

Jakkolwiek pobyt państwa Karolowstwa za granicą potrwać miał najdłużej ze dwa tygodnie, wyprawa Lizy wymagała widocznie większych zachodów i zatrzymywała wszystko troje poza ten oznaczony termin.

Baron, *très correct* w roli narzeczonego, co drugi dzień posyłał listy za nimi, rozwijając w nich zdumiewającą znajomość miejscowych stosunków każdego większego miasta, w którym się zatrzymywali. Polecał im najlepsze hotele, najlepsze restauracje, w których radził się stołować, dawał praktyczne rady i wskazówki doświadczonego przewodnika, ostrzegał, gdzie nie należało tracić czasu i pieniędzy, a Berlin i Bruxellę, w których głównie dla sprawunków się zatrzymać mieli, opisywał tak szczegółowo, z takimi wskazówkami, jakgdyby w tych miastach połowę życia spędził.

Dla wyrazu uczuć i tęsknoty narzeczonego pozostawało w tych praktycznych listach zamało miejsca; poprzestawał też na dyskretnych alluzjach do swej miłości, albo na dowcipnych zwrotach, które miały być wymowniejsze od wszystkich sercowych wynurzeń. Pod każdą datą stale dodawał w nawiasie:

„Dziesiąty — lub dwunasty dzień bez panny Lizy!“ — albo:

„Trzysta trzydzieści sześć godzin od wyjazdu Państwa“.

Miało to znaczyć, iż tak skrupulatnie oblicza każdą chwilę rozstania z narzeczoną.

Pani Wanda była zachwyconą stylem Apcia; nie spostrzegając nawet, że listy te były zgrabne i dystygowane, jak ukłon salonowca, ale poza konwencyonalną formą nie zawierały ani śladu gorętszego uczucia. Liza czytała je uważnie, spokojnie, milcząco i oddawała bez jednego słowa

bratu, albo bratowej, jak przejrany dziennik, w którym ani jednej zajmującej dla siebie nie znajdowała wiadomości.

Nie dzieliła równie tego gorączkowego zajęcia pani Wandy, z jakim całymi godzinami wybierała w magazynach materje, u modniarek kapelusze, u jubilerów klejnoty i słuchała obojętnie wykrzykników:

— Ach, to cudowne!.. weź to, w tem ci będzie przesłiznieć!..

Pozwalała przymierzać na sobie gustowne stroje, ubierała i rozbierała się machinalnie, apatycznie, przystając z góry na wszystko, nie oponując niczemu. Była zupełnie bierną w roli narzeczonej i cała wyprawa zdawała się nie zajmować jej ani trochę, jakgdyby służyła tylko zastępczo, na miarę, w ogromnych składach konfekcji, po których od rana do wieczora ciągnęła ją za sobą uszczęśliwiona bratowa.

Karola nudziły te całodziennie pielgrzymki po sklepach i magazynach mód; zostawiał paniom zupełną swobodę i na swą rękę spędzał czas pod pozorem załatwiania własnych interesów.

Zapisywał tylko co wieczór skrupulatnie wszystkie wydatki i składał rachunki, przynoszone wraz z zakupami do hotelu, w którym pani Wanda między pudełkami, zawiniątkami uwijała się jak sroczka i z komiczną rozpaczą załamywała ręce, wolając:

— Jak my się z tem wszystkim zabierzemy!.. co to będzie na granicy, co to będzie!

Postanawiała, jak mumia, owinąć się koronkami, wstążkami, chciała koniecznie całą sztukę aksamitu schować Lizie w turniurę, a pióra i kwiaty przewieźć w cylindrze na głowie męża; mówiła, że musi oszczędzić opłaty cłowej z tym uporem kobiecej ryzykowności, która wierzy w „szczęśliwe gwiazdy“ i ma pociąg do hazardu, a nie pomyślała ani przez chwilę, że ze swoim usposobieniem zdradzić się gotowa przy pierwszym zapytaniu na komorze i niewątpliwie narażać na kompromitację odkrytego przestępstwa.

Ciągle miała na ustach oszczędność, ale wybierała najkosztowniejsze rzeczy i nie umiała powstrzymać się od wyrzucania pieniędzy pełną garścią, powtarzając mężowi:

— Mój drogi, raz się idzie za mąż; na wyprawę ślubną nie powinno się nigdy żalować, bo to wieczne. Kupi teraz, to będzie miała na całe życie. Co wy, mężczyźni, się znacie na tem!..

Z dnia na dzień w ten sposób odkładali swój powrót, a w dniu, w którym Krzyś zjechał niespodzianie do Burakówka, mijał trzeci tydzień ich pobytu zagranicą.

Byliby jeszcze Bóg wie, jak długo, przeciągali ten pobyt, gdyby nie telegram, który spadł na nich, jak grom, z wezwaniem do powrotu.

Właśnie, kiedy Tonia i Mania tak serdecznie witały swojego gościa pod sztachetami ogródka, w kantorze cukrowni odbywała się walna narada.

Dwa razy zachodziła służąca, posyłana przez Franię, aby sprowadzić do domu starego Pęczińskiego, ale za każdym razem opryskliwą odbierała odpowiedź:

— Nie nudź teraz!.. nie mam czasu.

— Kiedy panienska kazała powiedzieć że pan Fatt przyjechał.

— Który pan Fatt?..

— Czy ja wiem! Fatt, to i Fatt.

Pęcziński zerwał się i bez czapki wybiegł z kantoru.

— A to go Pan Bóg chyba sprowadza w takiej chwili! — mruknął do siebie.

Znać po nim było, że wzburzony, że coś niezwykłego spadło nań niespodzianie.

W ogródku zastał Krzysia, zajętego ciągle jeszcze rozmową z dziewczętami; na twarzy starego odbił się zawód. Spodziewał się powitać u siebie szefa, a nie młodszego brata.

— Jak się pan miewasz, panie Pęcziński! — zawołał wesoło gość, roztwierając ramiona do uścisku. — Przyjechałem, a co?.. myślałeś pan, że to kto inny, prawda?.. Cóż się tu u was zepsuło?..

Kassyer głową pokiwał i rękę podał z ukłonem Krzysiovi.

— Aj zepsuło, zepsuło! — rzekł z westchnieniem — żeby się tylko dało naprawić!

— No, no!.. poradzimy jakoś. Ale czegoś pan taki wystraszony?.. Cóż to eksplozya, czy co?

Wpatrzył się w chudą, bladą i pomieszana twarz starego.

— Mówże pan.

Pęcziński zamiast odpowiedzi zapytał szybko:

— Pan dyrektor już wrócił?

— Nie; spodziewawy się go lada dzień.

— A gdzie teraz się znajduje?

— Jeżeli nie wyjechał, to siedzi jeszcze w Brukselli.

— No, to trzeba zatelegrafować do niego natychmiast.

— Taka ważna sprawa?.. o cóż chodzi?..

Zaczął się dorozumiewać jakiejś bardzo niepomysłnej wieści.

— Może pan pozwoli do kantoru, — mówił Pęcziński, wskazując ręką drzwi.

Krzyś postąpił za nim machinalnie.

— Ale powiedźże pan choć słowo!.. nie nie rozumiem.

— Co tu dużo gadać, — szepnął stary gwałtownie, nachylając się do ucha młodego pryncypała, — cukier spada na łeb na szyję. Kenig w Petersburgu zniżył nagle ceny, krach nie spodziewany!.. od wczoraj mamy około dwudziestu rubli straty na becze. Ot co!..

Krzyś wpatrzył się w niego, jeszcze nie rozumiejąc wszystkiego.

— To tak dużo? — spytał dobrodusznie.

— Mówię panu, to krach!..

— Alboż ceny się znowu nie podniosą?..

— Ba!.. kiedy!..?

Wyszli szybko na dziedziniec fabryczny. Pęcziński szedł naprzód, wskazując drzwi do kantoru.

— Pan zna naszego dyrektora? — spytał, nie zatrzymując się.

— Tutejszego?.. nie znam.

— To wszystko jedno, przecież pan brat, to przed panem niema co robić sekretu. Żle, panie Krzysztofiel!.. o źle!..

W kantorze opasły blondyn z okrągłą brodą, w złotych okularach i naukinowym garniturze siedzący za biurkiem dyrektorskim, podniósł się ciężko ze swego fotelu, usłyszawszy nazwisko młodego Fatta i dość łamaną polszczyzną, z wyraźnym akcentem niemieckim, poprosił go, aby się zechciał rozgościć.

— *Sie sprechen wohl deutsch?* — zagadnął młodszego reprezentanta firmy, wskazując głową na kilku officyalistów, zajętych w przybocznym pokoju i dał znak Pęczińskiemu, aby drzwi zamknął dla większej dyskrecyi.

— Zostań pan, panie Pęcziński, — dodał powoli zatrzymując kassyerę, jako człowieka zaufania na tej gabinetowej konferencji; — nie trzeba, aby tamte słyszeli. Pan sam może zostać z nami.

Zajął napowrót swoje miejsce za biurkiem i, podsuwając Krzysztofowi kilka depeesz, spytał, odsapnąwszy ciężko:

— *No, was sagen Sie dazu?*..

Krzyś rzucił okiem na liczby i odczytał kilka wyrazów, których znaczenia nie mógł się dorozumieć w skróconym stylu telegraficznym..

— *Es kracht von allen Seiten*, — dorzucił swym grubym, ponurym głosem pan dyrektor Burakówka z nachmurzonemi brwiami. — Ja będzie musiał wyjechać *sofort* do Warszawa i depezę wysłać *zum Herrn Bruder. Es ist keine Zeit zu verlieren!*.. tu niema żarty.

Domyślając się, że młody gość jego, nie rozumiał należycie groźnej sytuacji, zaczął mu tłumaczyć znaczenie takiej gwałtownego i nagłego spadku cen na giełdzie produktowej, której skutki nazywał wprost fatalnemi dla tych, którzy się zanadto zaangażowali w transakcyach i wytwórczości, nie przewidując możliwych przewrotów.

Pan dyrektor Figner mówił to wszystko z pewnym spokojem, ale okrągłe jego oczy wilgotne i zaczerwienione, ciężki oddech astmatyka i głos, przybierający coraz niższe i coraz bardziej ponure brzmienia, świadczyły o wewnętrznym wzburzeniu i niepokoju ciężkiej, flegmatycznej natury spaszłego Niemca.

Nietylko przewidywane straty, jakie fabryka przez niego zawiadywana ponieść musiała, ale jeszcze i inne okoliczności ciążyły mu widocznie na sercu isumieniu. Nieustannie w rozmowie z Krzysiem wracał do tematu nabycia Burakówka przez głównego akcyonaryusza, dzisiejszego prezesa towarzystwa, a swojego bezpośredniego szefa, Karola Fatta. Niepytany, przyznawał się i usprawiedliwiał, że do tego kupna wprawdzie namawiał gorąco *den Herrn Bruder*, ale któż mógł przewidzieć takiego obrotu rzeczy?.. gdyby nie te ceny, Burakówek był jego zdaniem kopalnią złota, *eine wahre Goldgrube*.

Nie pojmował, co się tam stać mogło takiego?.., co miał znaczyć ten krach cukrzany!.. przychodziło to, jak trzęsienie ziemi, jak powódź, nagle, gwałtownie.

Z ust jego coraz szerszy potok wymowy się rozlewał, im więcej zajęcia spostrzegał w oczach swojego słuchacza.

Krzyś dowiadywał się całkiem nowych dla siebie rzeczy.

Brat nie wtajemniczał jego, taksamo, jak niko, w swoje przemysłowe spekulacje i przedsięwzięcia poza „Cererą“; robił je na własną rękę i na własną odpowiedzialność.

Przypadek tylko odsłaniał rąbek zasłony, która pokrywała liczne i powikłane interesa Karola.

Ze słów Fignera i poufnych następnie objaśnień Pęczynskiego, Krzyś wywnioskował, że brat jego dał się skusić wysoką dywidendą i przepłacił nabyty udział byłych współników, Pindtera i Chramickiego w cukrowni; zdawało mu się do niego, nie znając dobrze wszystkich tajników przedsięwzięcia, które go wygórowanemi zyskami olśniewało.

Pindter, sprytny Prusak, jakgdyby przewidywał, że przeciągnięta struna pęknąć musi, wycofał się przed czasem z Burakówka a Chramicki, zadłużony, wyzyskiwał, jak mógł, sytuacją; natrafili wtedy obaj na Fatta, którego niedoświadczenie im sprzyjało i pozbyli się swoich udziałów prawie w przededniu katastrofy, przez niewiele tylko trzeźwych specjalistów przewidywanej.

Jak baltazarowe głoski na cukrowych piramidach, piętrzonych nieopatrznie, zawisł fatalny wyraz: hyperprodukcya!..

Figner, który kilka miesięcy temu utrzymywał, że jedynym przedsięwzięciem bieżącej chwili są cukrownie. w bardzo proste i zrozumiałe sposoby tłumaczył teraz Krzysowi, w czym leżą przyczyny takich krachów.

— Szlowiek przecie nie sam cukier zjada — mówił — *nicht wahr?*.. pan będzie obliczała dajmi na to, że konsumcya wyniesie funt na głowa, a głowa będzie zjadać tylko ćwierć-funt, no, to reszta zostać niejedzona. A pan produkował sztery razy więcej, niż potrzeba, no to jest hyperprodukcya. Żeby byli lepsze czasy, toby wszystko nic, ale jak je kiepski rok, to *kein Geschaeft* na cukrownie. Zeszły rok był kiepski rok i ten będzie kiepski rok. To musi pan kalkulować, że jak jest dobre urodzaje, to i cukier się podnosi, a jak niema chleba, to szlowiek i cukru mniej konsumuje. *Das sag ich Ihnen aus eigener Erfahrung*.

Krzyś rozumiał teraz ogólną sytuacją i wiedział, w czym właściwie leżało niebezpieczeństwo stagnacji.

— No, dobrze panie dyrektorze — zagadnął Fignera — ale cóż teraz robić?..

Figner ramiona podniósł, rozkrzyżował je w powietrzu i tym niemym gestem bezradności odpowiedział na zapytanie.

— *Aushalten das ist Grundsache!* — odparł po chwili — trzeba wytrzymać, to grunt. Kto słaby w nogach, ten musi przewrócić koziołka. *Jetzt heisst's aushalten!* — powtórzył i odsapnął ciężko zafasowany.

W godzinę później z najbliższej stacji kolejowej mknęła pod adresem Karola Fatta jedna depesza do Bruxelli, a druga do Berlina, następującej treści;

„Nieprzewidziane wypadki wymagają koniecznie pańskiej obecności. Wracać natychmiast jaknajspieszniej. Interes wielkiej wagi“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Nigdy dość muzyki—muzykalnej Warszawie: ani przedświąteczny ruch gospodarczy, ani wielkopostne rozmyślenia, ani nawet wiośniane słonko swemi promieniami zachęcające do innego rodzaju sportu, nie są w stanie przeciwważyć atrakcyi, jaką magiczny wyraz muzyka na nas wywiera. Otóż żart żartem, a koncert pana Seidemana nie był ostatnim w przedwielkanocnym sezonie, jakieśmy to w poprzednim sprawozdaniu orzekli. Towarzystwo „Lutnia“ dało nam bowiem jeszcze w wielkim tygodniu ucztę muzyczną ze współudziałem pana Aloiza. — Odpowiednio zaś do poważnego nastroju chwili, główny numer bogatego programu stanowiło „Requiem“ Verhulsta, kompozycya szeroka na chór męzki i kwartet solowy, przy akkompaniamencie organu i dętych instrumentów. Imię autora u nas prawie nieznaną, już oddawna cieszy się w świecie tonów zasłużonym obywatelstwem; ciekawi przeto byliśmy usłyszeć jedno z dzieł wyższego nastroju, z którego można o stylu i kierunku twórcy zdać sobie sprawę.

Siła jego zdaje się spoczywać głównie na dramatyczności, podnoszonej szlachetnemi efektami harmonicznymi. Śpiew, prowadzony łatwo, swobodnie, bez kontrapunktycznego krzyżowania się głosów, bez onej sztuki i finezyi opracowania, ku której dążą wszyscy wielcy kompozytorowie, czerpiąc ze skarbnicy swej wysokiej wiedzy, ażeby treść kompozycyi podnieść bogactwem formy ze wszechmiar zajmującej; do takiego rodzaju twórczości jużemy przywykli. Jednakże, pomimo pewnej monotonii, spowodowanej zbytnią zewnętrzną prostotą, dzieło Verhulsta sprawia wrażenie miłe, a jako niezbyt trudne do wykonania, pożądanym jest nabytkiem w literaturze chóralnej.

Lutnia, po raz pierwszy z tak dużym dziełem występująca przed publicznością, zaznaczyła tym swe poważniejsze dążenia i głębsze studia jakie pod batutą dzielnego swego kierownika odbywa. Panu Maszyńskiemu nie brak zapłań i prawdziwej umiejętności, chodzi teraz tylko o to, by wszyscy członkowie „Lutni“ przejęli się zasadą, że chór nie może być nigdy popisem dla dźwięcznych pojedynczych głosów, że wartość jego i potęga spoczywa, przeciwnie, na zupełnym zlanu się jednostek, na zaparciu się osobistych artystycznych pretensyj. Chór powinien brzmieć we wszystkich swych przejściach i modulacjach jak jeden harmonijny akkord, chyba, że sam autor pewną pojedynczą partją silniej uwydatnił; inaczey, każda choćby najdźwięczniejsza, lecz oderwanie dająca się słyszeć, nuta, robi efekt, że się tak poprostu wyrazimy: szydła z worka.

Oprócz „Requiem“ usłyszeliśmy kwartet Beethovena, Wagnera, Schumannna, Mendelssohna, Silchera i Moniuszki, słowem: sporą wiązanek arcycudów. Dywersją w tym wokalnem koncercie stanowiła wiolonczella pana Aloiza, śpiewna i posłuszna, jak zwykle, intencjom znakomitego wirtuoza. I dał nam pan Aloiz, wśród innych mniejszych utworów, świetny „koncert“ Romberga, napisany klasycznie, pełen technicznych trudności, przytem ujawniający głębokie znawstwo instrumentu, kompozytor bowiem wyzyskać umiał prawdziwe efekty wiolonczelli, nie odejmując jej właściwego charakteru brzmienia.

Towarzystwo Muzyczne po krótkiej przerwie otworzyło znowu swe sale, rozbrzmiewające przyjemnemi tony. Większy koncert zeszłego tygodnia, lubo osobliwszych jakichś atrakcyj nie posiadał, należał w każdym razie do dość udatnych;

tylko mniej liczne, niż zazwyczaj, audytorium, cechowało wieczór ten brakiem ożywienia, przypominając, że naprawdę pora staje się nieodpowiednią do zgromadzeń, że ten i ów radby już wytechnać na świeżem powietrzu. Na program złożyła się bardzo poprawna i staranna gra pani Hochendlinger, w wykonaniu której usłyszeliśmy „Waryacje C-mol“ Beethovena, drobniejsze kompozycje: Fielda, Schütta, Raffa, a na zakończenie parafrazę z opery „Rigoletto“ Verdi-Liszt. Pani Julia Skokowska, amatorka, zaprodukowała swój czysty i dosyć dźwięczny głos w Aryi Meyerbeera z op. „Robert dyabeł“ i pieśni Moniuszki. W zastępstwie zaś niedysponowanego pana Chodakowskiego wystąpił pan Szajder, obdarzony sympatycznym głosem basowym, i odśpiewał ku zadowoleniu słuchaczy Aryę z op. „Nieszpory Sycylijskie“ Verdiego i „Kaprala“ Moniuszki. Chóry Towarzystwa wypełniły resztę programu.

A teraz z sal koncertowych, mimo gorąca i, co za tém idzie, znużenia, podążyć trzeba do teatru, bo oto znowu zagraniczne przelotne ptaki pp. Sillich i d'Antrade, a następnie pani Kamińska, mają nam dostarczyć wrażeń zachwyty, podziwu czy też rozczarowania. Niewiadomo co *summa summarum* przyszłość wykaże.

Tymczasem usłyszeliśmy dopiero pana Sillicha w „Lukrecyi Borgii“, w roli księcia Ferrary. Krotką, ale trudną i interessującą tę rolę, artysta oddał wybornie. Jest to znowu śpiewak szkoły włoskiej, której zalety jużemy nieraz na tem miejscu podnosili. Głos, w medyum bardzo dźwięczny, wydobywa się z piersi pełnemi tony, dzięki prawidłowo branemu oddechowi, wymowa jasna, wyraźna, która także dobrych śpiewaków cechuje, pojęcie od twarzanej postaci nie pozostawia nic do życzenia. Dodajmy, iż opera była także czysto włoska, podatna do rozwinięcia *il bel canto*. Drugi występ pana Sillicha przypada w „Aidzie“, operze posiadającej wiele cech odmiennego stylu. Pani Dowiakowska, oile siły pozwalają, uwydatniała swój piękny jeszcze śpiew, delikatniejsze, powiewniejsze frazy muzyczne bardzo ładnie modulując; w akcentach więcej dramatycznych znać było pewną forsę utrudzającą. Pan Myszuga zwykle się dosyć oszczędza, nie dziwi więc że czyni to teraz po niedyspozycyi i przerwie w występach. Wśród grona artystycznego zaznaczyć jeszcze musimy pannę Dąbrowską, która małą rolę Orsina czysto i powabnie odśpiewała. Wogóle cała opera nie jest szkopułem, ani dla solistów, ani dla chórów i orkiestry, szła też przyzwoicie, jak się należało spodziewać. Przyjemne intermezzo stanowiła „Tarrantella“ Moniuszki w pierwszym akcie, pełna świeżości i właściwego charakteru, jak wszystko co wyszło spod pióra mistrza.

Juljusz Stettler.

Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

(Ciąg dalszy).

Pasterze przepędzają stada swoje przez rynek z nawoływaniem tak głośnem, jakgdyby to się działo gdzieś wśród pastwisk samotnych, a nie w mieście i o tej porze, w której większość mieszkańców może spać jeszcze. I zdają się też oni pełnić rolę pobudki i capstrzyka miejskiego, bo zaraz wkrótce rozmaici przekupnie zaczynają rozkładać się na rynku, klócąc się pomiędzy sobą zapamiętałe a wysławiając zarazem doskonałość towaru, na który chcą zwabić kupca. Piekarze, nosiwody, owocarze przeciskają się ze wschodnią zęcznością wśród tworzącej się już ciszy, która zdaleka ukazuje wzrokowi patrzącego tylko białe turbany i czerwone fezy a Europejczykowi trudno jest wyobrazić sobie, jaką jest przy tem wymiana obustronna wyzywań, pogróżek najrozmaitszych, bo mieszkańcy Nazaretu są podziśdnień

tak niespokojnej natury, jak za historycznej przeszłości Palestyny, gdy Nazarejczyk znaczył łamiącego prawo gwałtownika. Ale te arabskie, po większej części wysokie, smukłych kształtów chłopy z bosemi nogami, rozprawiają się między sobą tylko na języki, używając ich przecież z taką szybkością i razem zaciętością, że Europejczyk stawa odurzony i lęka się co moment rozlewu krwi, do którego przecież nie przychodzi. Plac rynkowy i wychodzące nań ulice stają się tymczasem widownią innego ruchu i innych obrazów życia wschodniego: wynoszą się tu i ustawiają stragany, warsztaty, bo na Wschodzie wszelki rzemieślnik pracuje na ulicy, przeciskają się przez tłum obławowane wielbłądy i osły, których ryczenie odzywa się razporaz wśród wrzawy zmieszanych głosów i sztukań najrozmaitszych, gdy tymczasem owe psy, nienależące do nikogo, zuchwale przeciskają się między nogami ludzkiemi, szukając sobie łupu do upolowania, co dokonują się nieraz w zadziwiający Europejczyka sposób, gdy taki pies chwyta spod ręki ludzkiej jakąś sztukę drobiu, porywa i unosi jakiś kawał mięsa, z którym w tłum uchodzi.

Po bokach rynku, po rogach ulic oko spotyka grupy malownicze, jakich nie brak nigdy żadnemu z miast wschodnich. Żebracy: sędziwi starcy w turbanach, w zawojach, siedzą na ziemi po kilku i wzywają miłosierdzia ludzkiego, lecz tym starość odbiera żywość wschodnią, a choć i oni wzywają litości ludzkiej głośno, ale jest w tym głosie starości jakaś konieczna przeciągłość i smętność, która daje ich natrętną prośbie nutę wrzuszającą. Jest między nimi mnóstwo ślepców i stanowi to jedną z klęsk miejscowych — ślepotę rozszerzoną w sposób, jakiego się nie spotyka nigdzie.

Przypisują to szybkim zmianom pogody i oświecenia tak, jaki zabobonowi, przez który Arabki pozwalają muchom obśiadać jaknajgęściej małe dzieci z tej racyi, że je to osłania przed urokiem złego oka. Już-to zabobonność tego ludu jest nieopisana, podobnie jak i zachowawczość. Naruszyć zwyczaj, zaprowadzić jakąś zmianę w sposobie życia, jest u Arabów czemś, co odpowiada grzechowi przeciw przeszłości, pojętej w jej zwyczajach i obyczajach religijnie, i z tej-to przyczyny spotyka się wśród tych śniadoliczych synów pustyni rzeczy, które się zdają być obrazami wziętymi żywcem z Biblii.

Wracając do żebraków, należy dodać, że nie spotyka się nigdzieindziej takiego, jak tu, miłosierdzia, bo religia Machometa czyni człowiekowi z uczynków miłosiernych najpewniejszą furkę do nieba i jej wyznawca, gdy nie ma już nic do dania ubogiemu, nawet kilku suszonych daktyli, przychodzi biedakowi choć z posługą jakąś, na przykład, poda niewidomemu rękę, aby go bezpiecznie wyprowadzić z zaułków, wśród których mógłby się łatwo zgubić. Ale cięższą, niż ślepotę, klęską jest dla tych stron Wschodu trąd. Ci nieszczęśliwi, których dotknie, bojaźliwie, nieśmiało trzymają się na uboczu i tylko wyciągają do przechodnia miseczkę, prosząc zeicha o jałmużnę, którą w ten sposób można im dać, nie dotykając się ich, nie zbliżając nawet zbytecznie. Trąd jest okrutną plagą tych okolic, o której już wiemy z ich dawnej historii. W Jeruzalem jest wzniesiony przytułek dla trędowatych, lecz jeden zakład taki snadź nie wystarcza, aby zgarnąć wszystkich, i nieszczęśliwi wiodą życie najokrutniej bolesne wśród cierpień i niedoli wszelkiego rodzaju, oddzieleni od reszty ludzi nieprzebitym murem wstrętu i obawą zarazy.

Dawnych dziedziców tego starego gruntu bardzo jest mało w Nazarecie i zaledwie spotkałem ich kilku odróżniających się od ludności arabskiej ubiorem, który mi przypominał nasze miasteczka sprzed lat kilkunastu, bo Izraelici tutejsi noszą się zupełnie tak, jak ubierali się niegdyś u nas: w długich, luźnych oponczach czarnych i w czapkach z futrem. Omal, że nie krzyknąłem, zobaczywszy pierwszego, omal, że nie zawołałem: zkąd jest? i kto wie czy nie był to pielgrzym z Północy, który tu przywędrował do Świętej Ziemi ojców swoich? — bo przecież Słowacki miał takie spotkanie. W Nazarecie może się rzecz taka łatwo powtarzać, bo tuż w pobliżu znajdują się

dwa miejsca, liczące się do historycznych świętości izraelskiego ludu: Zafed i Tyberyada.

Nazajutrz z pierwszym brzaskiem dnia ruszyłem konno dla zwiedzenia góry Tabor, uświęconej przez podanie cudem Przemienienia Pańskiego, jakkolwiek zachodzi tu spór z historią, co do tożsamości miejsca, gdyż za czasu wielkiej chrześcijańskiej epopei cytadella rzymska wznosiła się na szczycie góry. Góra ta, dźwigająca się wyniosłe i już samotnie wśród doliny Ezdraelon za czasów S-go Hieronima, uderzała tak wyobraźnię wiernych, że łómaczy to błąd podania; wznosi się ona przed oczyma podróżnika tak przepięknie w bogatej szacie roślinności swojej, że poeta, który ją widział — Lamartine, nazwał ją bukietem zieloności. Na szczycie znajduje się kaplica, gdzie tłumy pobożnych pielgrzymów śpieszą z modlitwą, ale nabożeństwo odbywa się przygo dnie tylko, bo żaden kapłan nie mieszka tu stale i tylko w pewne dni uroczyste przybywa z Nazaretu ksiądz dla odprawienia mszy, a dziwnie uroczyście brzmi tu dzwon, gdy dźwięki płyną z tej doskonale-koniecznego kształtu wysokości, a oczy mimowoli szukają miejsca, w którym Rafael umieścił Uczniów Chrystusowych w chwili, gdy olśnieni światłem niebieskiem, wśród którego Pan im się ukazuje, padają twarzą na ziemię. Niejeden pobożny pielgrzym szuka miejsca tego, na którym obecnie wznosi się dąb stary. Ponieważ, zwłaszcza w dni uroczyste dla chrześcijaństwa, tłumy pobożnych pielgrzymów zalegają górę, rozpoczęcie mszy oznajmia się wiernym, nie przez dzwonek zwykły, ale przez wystrzał z pistoletu, na którego odgłos pobożni klękają na stopniach tego olbrzymiego ołtarza, który ma nad sobą sklepienie niebieskie tego, jakgdyby przezroczyściego, błękitu, jakiego nie znają mieszkańcy strefy naszej. Zdawało się też oczom moim, że rozsunie się on lada chwila, jak zasłona ołtarza i Bóg ukaże się oczom.

Jeszcze dnia tego, po odpoczynku parogodzinym, opuściłem miasto, puszczając się w dalszą drogę ku dolinie Jordanu — ku jezioru Genezaret, czyli Morzu Galilejskiemu, jak wody te nazywa Ewangelia, — rozległą płaszczyznę ośm mil długą i co najmniej tak szeroką. Przebywając ją podróżnik spotyka tu tylko rzadko rozsiane wioski arabskie, złożone z chat, a raczej lepianek, od sześciu do ośmiu stóp wysokości, których dachy płaskie, jak tu już wszędzie, ubite są na podobieństwo podłogi naszych chałup wiejskich, z gliny, mieszanej z siczką. Dachy te służą tu taksamo, jak w mieście, za mieszkanie i pracownią rodziny arabskiej, pierwotne bardzo sprzęty gospodarskie; maty zastępujące pościel i derki z wielbłądziej sierci lub koziej wełny, służące jako koldry. Ubiór ludności nie ulega też zmianie, tylko uboższy jest jeszcze, kobiety noszą już tylko długie, tiuniki, czyli koszule z błękitnej wełny, przepasane białą, szeroką szarfą wełnianą. Wszystkie, podobnie jak i dzieci, są bardzo mizerne i przecież zawsze piękne — czarne długie oczy rozświecają wynędzniałe twarze. Zasłony nie noszą żadnej, usta malują farbą błękitną i podmalowują sobie nią oczy, co zdaje się powiększać je jeszcze i blask ich podnosi, a lekki rysunek, taką samą farbą wytatuowany jest wkoło ust. Mężczyźni, podobnie jak po tamtej stronie Nazaretu, mają na sobie luźną suknię bez szwu, utkaną w całości z koziej wełny, przy której nogi niemal po kolana, ręce do ramion są obnażone, i pierś widzieć się daje. Droga z Nazaretu do Tyberyady, leżącej nad samem już jeziorem, nie trwa dłużej nad sześć godzin drogi konnej, ale tylko w porze roku pogodnej, bo w czasie deszczów dolina Jordanu staje się bagnistą i trudną, niemal niemożliwą do przebycia. Puszczając się nią głownie ci, którzy chcą w najkrótszym czasie na Damaszek do Jeruzalem się dostać, ja zaś jechałem tędy, aby widzieć te miejsca pełne wspomnień i poezji...

Płaszczyzna ta, wysoko podniesiona, skalista, a mimo to bardzo płodna, pełna wawozów i jakgdyby rozpadlin gruntu, przypomina przebywającym ją ową przypowieść ewangeliczną o siewcy dobrym i ziarnach, rozsypanych jego ręką. Jedne padły na skałę i nie weszły wcale, drugie rozchwytało ptactwo żarłoczne, trzęsiec zgłuszyły

krzaki cierniste, lecz za to czwarte, które trafiły na ziemię dobrą, obrodziły stokrotnie. Produkcja drzew oliwnych jest tu znaczna i ze wszystkich stron słychać łoskot pras ręcznych wyciskających oliwę, jak to powtarza się w całej Galilei, lecz tu zdaje się być jedynym przemysłem ludności. W dolinie, którą podróżnik nagle i niespodziewanie u stóp swoich odkrywa, cała dekoracja natury zmienia mu się przed oczyma niemal magicznie, bo grunt jakgdyby znika z przednóg jego konia, a on widzi tam poniżej dolinę, której końca oko niedosięga i owe jezioro świętych wspomnień, które dziś mieszkający tu Arab nazywa Bar Tabarieh, czyli Morze Tabaryjskie. Amfiteatr gór skalistych, czarnych i szarych, otacza go z trzech stron i tylko oł południa, to jest od naszej strony, jest ono otwarte i zwęża się, a strumień świętej rzeki proroków i apostołów — Jordan, wypływa zeń i zaraz w pobliżu, bo nie dalej jak o pięćdziesiąt kroków od jeziora przepływa, już falując i dając słyszeć szum pewien tych fal swoich pod arkadami rzymskiego mostu w ruinie. Kolor wód jest błękitny, podróżnik europejski przypomina sobie, patrząc nań, Rodan, gdy wypływa z jeziora genewskiego; lecz wyobraźnia jego doznaje pewnego zawodu, gdy widzi przed sobą, nie rzekę potężną, o jakiej marzył, ale rzeczulkę, której koryto ma najwięcej sto stóp szerokości a dwadzieścia trzy głębokości, — tak czystą i przejrzystą, że widzi się wszystkie kamyczki, któremi jej dno jest usiane. Ta czystość wód Jordanu, odwierciadlając jasny lazur nieba Azyi, daje mu ową wdzięczną barwę niebieską, niezmiernie miłą dla oka. Każdy prawie z podróżników klęka na skalistym brzegu i chrzci sobie głowę wodą świętej rzeki, którą w tej porze znalazłem więcej niż letnią — ciepłą. Że w miejsce wielkich, wspaniałych wrażeń, otrzymałem tylko przyjemne, co było dla mnie wielkim zawodem, już jest winą tej poetyczności człowieka, która wszystkie miejsca pamiętne w dziejach obleka majestatem wielkości. Skamander jest też strumieniem tylko, z czem również trudno jest zapewne pogodzić się podróżnikowi, który patrzy przed siebie przez pryzmat obrazów Iliady. Brzegi Jordanu są bardzo wdzięcznie zarosłe bujną roślinnością. Różowe laury kwitnęły właśnie, a gdy rzeczulka, płynąc dalej, zwęża koryto swoje i zyskuje na głębokości, wiloki stają się coraz weselsze dla oka przez większą ilość drzew i zieloności. Pół dnia drogi konnej potrzeba podróżnikowi, aby dotarł do Tyberyady, leżącej na wschodnim brzegu jeziora Genezaretu. Miasteczko to jest bardzo nędzne i smutne; z dawnych szczątków wspaniałego grodu, który miał piękne, szerokie bulwary i przystań dla statków żeglujących po jeziorze, zostały tylko ruiny, a raczej szczątki ruin, które się na przestrzeni więcej niż kilometru wzdłuż brzegów jeziora oku podróżnika ukazują. Są tu pomiędzy niemi i szczątki pałacu, który rozrzutny i w zbytkach lubujący się syn Heroda, Antypas, przyjaciel Rzymian, zbudować sobie kazał i który uczynił rezydencją swoją, nazywając miasto na pamiątkę sprzymierzenia swego i przyjaciela cesarza Tyberysusa, Tyberyada.

Dziś ironia losu każe bajce arabskiej uważać Bar Tabarieh za stolicę — króla pcheł..

Miasteczko ma obecnie trzy tysiące mieszkańców, a w tej liczbie znajduje się więcej niżeli połowa dawnych ziemi tej dziedziców. Dla Izraelitów Tyberyada jest do dziś dnia miejscem patriotycznych pamiątek, do których ściągają się znaczna liczba ich pielgrzymów z różnych krańców świata, bo znajdują się tu groby wielu „uczonych w Piśmie“ a między innymi grób mędrca: filozofa Maimonidesa. Uczniowie Chrystusa nie przebywali tu znać chętnie i tylko w Ewangelii S-go Jana jest Tyberyada kilka razy wspomniana; jest tu przecież teraz kościół i klasztor Franciszkanów, zbudowany w niedalekiej odległości od meczetu muzułmańskiego, ze sławnie wyniosłym minaretem, z którego jest przepyszny widok na jezioro. Kościółek Franciszkański wraz z klasztorem zbudowany jest nad samym brzegiem, w miejscu, gdzie według Ewangelii S-go Jana miał miejsce cudowny połów Piotra rybaka. Starożytna stolica Herodowego syna, której

wspaniale budowle były wszystkie grecko-rzymskiego stylu, jest dziś zbiorem ubogich domków z dachami z ubitej gliny, a gdy wiosną okoliczne góry okrywają się bujną roślinnością, trawa puszcza się też między ruinami i dzikie zioła, nowoje i bluszcze owijają kamienie.

(Dokończenie nastąpi.)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż w Marcu 1890 r.

Dymissya Bismarcka.—Wrażenie we Francji.—Ćwiczenia środopostne.—Piękny czas i huczne zabawy.—Odwet polski.—Paderewski, jego koncerty i wziętość.—Grabowski.—Dziwaczny testament dziwaka.—Kazania wielkopostne O. Monsab.égo, Dominikanina, u Najświętszej Panny Paryzkiej.—Pożegnanie wymownego kaznodziei — rzut oka na przyszłość tej kazalnicy i nadzieja na przyszłość.—Pani Batifol i jej testament.—Piękny czyn skromnej kobiety.—Słowo o ostatniej powieści Emila Zoli „La Bête humaine“.

(Dokończenie).

Dzisiejsze pokolenie „z końca wieku“—jak oni tu powiadają—ledwie ze słyszenia przypomina sobie, że to w 1834 r., nazajutrz prawie po rewolucyi, nazajutrz po druzgotaniu krzyżów i grabieży pałacu arcybiskupstwa—odpowiadając na prośbę młodzieży szkolnej paryzkiej, JE. ksiądz arcybiskup de Quélen, w swoim liście o zachowaniu przepisów wielkopostnych zapowiedział ustanowienie u Najświętszej Panny stacyi tak zwanej *Quadragesimalnej* (czterdziestodniowej) o fundamentalnych prawdach religii.

Sam arcybiskup miał otworzyć szereg tych kazań w pierwszą Niedzielę Wielkiego Postu—a po nim siedmiu kaznodziejów było zapowiedzianych, mianowicie ks. Dupanloup, Petelot, Jammes, Annat, Veysière, D'Assonu i Thibault.

D. 10 Lutego 1834 r. wśród ogromnego zgromadzenia słuchaczy mężczyzn, — bo taki był i jest cel tych kazań, iż się wyłącznie zwracają do mężczyzn — arcybiskup osobiście zainaugurował te głębokie nauki dogmatyki i apologetyki katolickiej.

Otóż, tegosamego dnia w małej kaplicy Kolegium Stanisławowskiego (zakład naszego króla Leszczyńskiego)—młody kapłan nikomu nie znany jeszcze, ks. Lacordaire, zabrał głos i natychmiast takie wzruszenie, takie powodzenie było kaznodziei, że rozgłos jego napęłcił miasto. Wkrótce w tej studenckiej kapliczce, którą musiano powiększyć, napływ słuchaczy był niezmierny, a u stóp tej mównicy widziano nieraz zgromadzonych takich ludzi, jak Châteaubriand, Berryer, Lamartine, Odillon-Barrot, Victor Hugo i t. p. Wszystkie miejsca, przy ołtarzu nawet, były zajęte. Powiadają, że raz Berryer, spóźniwszy się, nie mógł wejść inaczej do kaplicy, jeno zapomocą drabiny, przez okno.

W 1839 r. arcybiskup powołał księdza Lacordaire'a na ambonę Najświętszej Panny. Było to w Styczniu, a na pierwsze kazanie zeszło się przeszło 6.000 słuchaczy. Sam ks. Lacordaire zestawił wspomnienia o tem swoim pierwszym kazaniu: „Rozpocząłem nie bez wzruszenia, ale z odwagą i wytrwaniem, trzymając oczy utkwione w oblicze arcybiskupa. Patrząc na niego, arcybiskup drgnął widocznie. Bładość, która doszła aż do mnie, okryła twarz jego. Podniósł głowę i spojrzął na mnie ze zdziwieniem. W tej chwili z ust moich wydarły się te słowa:—Zgromadzenie!.. zgromadzenie! Czego żądasz odemnie? czego chcesz odemnie? Prawdy?.. a więc nie masz jej w sobie? Szukasz więc jej? Pragniesz ją pojąć? Przyszłście więc tutaj, aby was nauczono“!

Takie były początki tego niezrównanego kaznodziei, a jaki był szereg jego wymownej nauki

przez lat wiele,—nie zapomnieliście zapewne, bo i gdzież nie przeniknęła potęga słowa tego mównicy?

Po tym nowym złotoustym, który grzotem, trąbą i blaskiem swojego słowa żywego sprowadził wiernych pod swoją ambonę—przyszedł ojciec Ravignan. Ten namaszczeniem, słodyczą, i gorącą miłością wiązał dusze i przykuwał do kazalnicy. Mówiono o nim, że, jak w księgach sędziów, miał on serce i odwagę lwa, ale na ustach mu leżał plaster miodu. Było to prawdą: z prokuratoryi sądowej, z za stołu oskarżyciela, przeszedł on do celi mniszey; oprócz miłości wszystko zostawił światu i poszedł miłością świat więzić.

Po nim nastąpił ojciec Felix, uczeń jego i towarzyszy. Była to uosobniona logika; ten z prostej wytkniętej linii nigdy nie zboczył. Postęp zapomocą nauki chrześcijańskiej: oto jego założenie, oto cel, do którego dotarł zwycięzko.

Tu, w szeregu następujących po sobie wielkich kaznodziejów, jak w Pałacu Dożów w Wenecyi, widzę zasłonięty żalobną krepą wizerunek. Kto jest ów człowiek? To sławny Karmelita bosy, Ojciec Jacenty Loison.

Upadek tego Karmelity, to skaza na herbowej tarczy ambony w Notre Dame. Widzieliśmy go, jak z ogoloną głową i bosą nogą, wchodził na tę straszliwą mównicę; a potem, kiedy pycha ogarnęła to słabe miękkie serce, widzieliśmy go wychodzącego ze świątyni w butach i z gęsto zarosłą czupryną. Nie darmo, słuchając go Francuzi, zawsze dowcipni, mówili zeicha: *C'est l'éloquence de la chair*.

Jest to skaza na tarczy, ale też jest to wezwanie wyższej duchownej władzy, do oględności w powierzeniu tej mównicy byle komu, z licznych zawsze pretendentów.

Po karmelicie Jacentym nastąpił O. Dominikanin Monsabré, wymowny—jak już mówiłem,—ale ściśle dogmatyczny zarazem. Łatwoby się mógł przekonać o tem toby miał siłę przeczytać chociaż jeden z tych trzydziestu tomów wydanych już pod tytułem *Exposition du dogme catholique*. Są to kazania O. Monsabré, wygłoszone w ciągu ostatnich lat dwudziestu z ambony Najświętszej Panny Paryzkiej.

Takie imiona, jak Lacordaire'a, Ravignan'a, Felix'a, Monsabré'go—wskazują jasno, że kazalnica Najświętszej Panny ma nie tylko swoją historję, ale, że nauki jej kazań mają z sobą ściśle i nieprzerwany związek. I to jest powodem, że opróżnienie tej posady jest trudne do zapełnienia godnie, jakby sukcesya jakiegoś tronu. Kto przyjdzie? Pierwszy wymowny kapłan z trudnością otrzyma posadę, pomimo najlepszych intencji. Wymieniono już kilka osobistości, w ich liczbie ojca Didon'a, Dominikanina.

Ale zaraz stają przed oczy jego sławne kazania u S-go Filipa du Roule w 1879 r. i powodzenie tych kazań wówczas za zbyt hałaśliwe, za zbyt światowe może! ale, powiedzmy prawdę, był to wina kaznodziei, że moda i kronika światowa rzuciły się nań z całą, zwykłą swoją przesadą admiracyi i pochwały?

Od lat dziesięciu usuwając się z większej widowni, nie dał-że ojciec Didon dowodów religijnej pokory? Pracował wśród ciszy klasztorów swojego zakonu, na Korsyce i w Ziemi Świętej, gdzie podróżował, zbierając nowe materiały do życia Chrystusa Pana, nad którem właśnie pracuje.

Dziś mógłby, zdaje się, stanąć z pożytkiem i nie bez pewnej chwały na ambonie Najświętszej Panny—z pożytkiem dla słuchaczy, których, powiedzmy prawdę, trzeba silnie zagrzewać, aby utrzymać przy stopniach tej ambony. „Ręce mnie bolą—mówił ks. Zbrożek Jezuita, do swych polskich słuchaczy—smagać was biczem i pędzić do raj“u. Tak jest: trzeba trochę smagać ludzi, aby—szli do raj“u. Zapewne, ten nowy głos żyjący, godzien byłby ze wszech miar owych głosów umarłych przeszłości. Ale wybór ten zależy od arcybiskupa; bądźmy pewni, że będzie sprawiedliwym.

Starzy Rzymianie mieli przysłowie, które powiada: *Nomen—omen*. Nie sprawdza się ono na zacnej i pocziwej kobiecie, której trochę dziwaczne nazwisko było i jest jakby w sprzeczności z jej rozumem i sercem. Jest to pouczająca i cie-

kawa kartka do historii działalności kobiety—a więc posłuchajcie:

Kilka lat temu umarła w Paryżu zacna kobieta, nazwiskiem Prudencya Batifol. Tu trzeba objaśnić polskich czytelników, że to słowo *Batifoler* w powszednim i poufałym użyciu znaczy tyle, co *swawolnić, igrać, bawić się jak dzieci*—otóż ta zacna kobieta, ta pani Batifol, zostawiła testament następującej treści: „Na pamiątkę moich początków w handlu i pragnąc, aby moja wdzięczność za otrzymane skutki usiłowań, do których potrafiłem dojść nakoniec—mogła się objawić w sposób pożyteczny—postanowiłam zapisać miastu Paryżowi 10.000 fr. rocznego dochodu z renty 3% na skarbie francuzkim; z warunkiem, aby te 10.000 fr. były corocznie przyznane młodej uwiercie niezamężnej, która zdolnością i dobrem prowadzeniem się będzie mogła założyć pracownię na własną rękę (*s'établir*), której braknie jedynie potrzebnych na to pieniędzy. Moim zamiarem, powtarzam—jest ułatwić urządzenie się na własną rękę osobom zasługującym na to“—i t. d.

I każdego roku, począwszy od 1885 r., Rada miejska miasta Paryża rozdaje, to tak miłe, premium. Zasady rozdawnictwa są następujące: Po należytej klasyfikacyi wszystkich żądań zbiera się pierwsza kommissya, a głównem jej zajęciem jest wykreślenie z listy kandydatek jaknajwiększej liczby żądających. Podania pozostałych kandydatek idą do dwóch podkommissyj, które czynią nowy wybór, poprzedzony sprawdzeniem kwalifikacyi i niepozostawiający więcej nad 10 albo 15 najgodniejszych kandydatek. Te ostatnie stają osobiście już do examinu przed kommissją *in pleno* poczem i po rozważnem rozpatrzeniu sprawy prefekt Sekwany decyduje ostatecznie i swoim postanowieniem (*arrêté*), wyznacza szczęśliwą *laureatke*—jak tu powiadają.

Przez te pięć lat pierwszych liczba współzawodniczek wzrastała ciągle. W 1885 było ich sto pięćdziesiąt dwie; w r. 1886, sto sześćdziesiąt sześć; w r. 1887 sto sześćdziesiąt ośm; w r. 1888 dwieście trzydzieści, —a w r. 1889 dwieście sześćdziesiąt dwie.

Kandydatki powinny być Francuzkami z urodzenia, niezamężnymi, od 21 do 30 lat wieku. Naturalnie, kiedy tytuły do współubiegania się są równe, nagroda przysądzoną zostaje starszej latami. Podaję tu niżej spis nazwisk uwieńczonych dotąd kandydatek:

W r. 1885 panna Janina Privat, hafciarka 26 lat; w r. 1886 panna Marya Cussin, szwaczka (Couturière) 27 lat; w r. 1887 panna Amelia Goelet, szwaczka 27 lat; w r. 1888, panna Lidya Terminaux, szwaczka 29 lat; w r. 1889, panna Eugenia Delaporte, szwaczka lat 30.

Ta ostatnia otrzymane premium podzieliła ze swą siostrą (bliźniętą), Janiną Delaporte.

Przyjdzie czas, kiedy to premium podniesione zostanie do 15.000 fr. Pani Batifol albowiem zostawiła dwóm krewnym dożywotnią rentę 5.000 fr., po wygaśnięciu tych legataryuszów owe 5.000 fr. pójdą dopełnić zostawioną dziś summę 10.000 fr. dochodu.

Choć w ratuszu paryzkim przyjęto wyrażenie *Batifolaises* na oznaczenie kandydatek do tego konkursu, ale—jak mówiłem—*nomen* nie zawsze *omen*, i nic mniej swawolnego, nic mniej dziecinnego od tej dobrej i pocziwej myśli kobiety, która nauczona przykładem własnego życia—tak godny, tak chwalebny, tak moralny użytek uczyniła ze zdobytej ciężką pracą fortuny. Zapiszmy to imię do ogólnej kroniki działalności kobiety—działalności na gruncie uczucia i miłosierdzia dla tych siostr, którym, niestety! tak ciężko, tak trudno przychodzi wyjść zwycięzką ręką z zapasów z losem i własną swą naturą.

Nie mogłem zakończyć tej korespondencyi, nie powiedziawszy choć kilku słów o p. Zoli i o jego nowej powieści „La Bête humaine“, coś jakby: *Zwierzę ludzkie*. Nowy kandydat do Akademii Francuzkiej i jego nowa książka—to są, prawdziwie rzeczy, z końca wieku, jak tu się dziś mówi o tem, co jest dziwne.

W tej chwili właśnie jeden z uczniów p. Zoli odpokutowuje w kozie, zbyt szczodre używanie przymiotników, tak ulubionych jego mistrzowi. Sąd przysięgłych, po dwóch dniach rozpraw, ska-

zał na trzy miesiące więzy niejakiego p. Jana Larocque'a za jego powieść, której nie czytałem — przynaję się — wnioskuje jednak z tego, co powiedziano w tej sprawie przed sądem przysięgłych, widzę, że sieć, w którą łapia się muchy — nie zatrzyma nigdy grubego baka. Zaprzeczam bowiem, aby to *factum* p. Larocque'a mogło iść w porównanie z tem, co czytamy w ostatniej powieści p. Zoli.

La Bête humaine — jest to jedna z maszyn ciągnących pociągi kolei żelaznej Zachodniej. Otóż p. Zola do tej maszyny, która szumi świszcze w tej książce, pełnej dymu i krwi — potrzebuje dużo czasu, aby ruszyć w drogę, zaplątany w przepisywanie dosłowne przewodników oficjalnych drogi żelaznej.

Ale raz wreszcie wydostawszy się na czyste pole, nie zatrzymuje się autor i zaczyna mordować naprawo nalewo, aż miło. Ale co najdziwniejsza, to że nie ma żadnego związku pomiędzy światem dróg żelaznych i dramatem, który się rozwija w tem zwierzu ludzkim.

Oto mąż w przystępie zazdrości zabija rozpustnego starca, który uwiódł jego żonę przed słu-
bem — więcej jeszcze: zbójca zmusza swą żonę do przyjęcia czynnego udziału w morderstwie i ta zbrodnia staje się powodem rozprzężenia ich małżeńskich węzłów.

Żona następnie bierze amanta i żąda, aby ten zamordował jej męża. Amant zgadza się na to, ale w chwili właśnie, kiedy oczekuje na swą ofiarę, zabija swoją kochankę pomimowoli! — bo zapomniałem powiedzieć, że ten amant jest to czołowiek chory, który w pewnych godzinach staje się ofiarą tajemnej i nieprzepartej chęci zabicia kobiety!

Niedosyć tego. Oto starzec jakiś zadaje truciznę swej żonie, aby sobie przyswoić te kilkaset franków, które tu są znane pod nazwiskiem „*magot*“. Młoda znowu dziewczyna zazdrosna, szuka sposobu zamordowania człowieka, którego kocha, i jego kochanki — i t. d.

Zapewne, rozmaite te morderstwa spełniają się w wagonach kolei żelaznej, albo wzdłuż tej kolei; ale nie traćmy tego z uwagi, że mogły się one dopełnić, dzieindziej — i że wszyscy ci ludzie, aby czuć jak czują — postępować tak jak postępują, — mogli być wszelkiej innej profesyi, a nie koniecznie urzędnikami kolei żelaznej.

Ale otóż tu sęk. P. Zola potrzebował pewnego społecznego ośrodka, w którymby mógł umieścić swoją maszynę! W jego studyach brakło jeszcze kolei żelaznych. Teraz, są i koleje — cały przewodnik ze wskazówką godzin i minut, przeszedł do powieści — jak również regulamin służby kolejowego i mechanika.

Taki jest dziwny i wstrętny mechanizm tej nowej powieści. Oddalonej nawet analizy próbować nie śmiem, bo czuję, że za pierwszym krokiem utonę w tej kałuży krwi i błota. Dostyć więc przyjąć do wiadomości ten nowy *dokument*, jak Zola swe powieści nazywa, przyszłego członka Akademii Francuskiej.

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

Kąpiele morskie.

Jednym z najpotężniejszych czynników, wpływających dodatnio na utrzymanie zdrowia i leczącym z wielu cierpień, są kąpiele morskie. Są one środkiem zarazem higienicznym i leczniczym.

Woda morska składem swym zbliża się do wód słonych, przedstawia się jako słabo procentowa solanka; zawiera bowiem tylko 3 — 4% soli. Głównym składnikiem jej jest sól kuchenna (chlorek sodu), prócz tego znajdują się w wodzie morskiej i inne składniki, jako to: chlorki wapnia,

magnu; siarkany, mianowicie: sodowy, wapniowy i magnowy, jako też nieznaczne ilości połączeń bromu i jodu.

W kąpielach morskich prócz samej wody istnieją jeszcze inne potężne bardzo czynniki, które w kuracyi niemniej ważną rolę odgrywają a są niemi: powietrze, niska temperatura wody i uderzenie fali.

Powietrze morskie swym składem bardzo mało albo nawet wcale nie różni się od powietrza stałego lądu, posiada takżsam stosunek azotu i tlenu to jest 79 pierwszego a 21 drugiego. Wpływ zatem dodatni jego na zdrowie posiada inne przyczyny: po pierwsze jest ono gęstsze, po wtóre czystsze, a wreszcie posiada więcej wilgotności, temperatura zaś jego jest umiarkowana i jednostajna.

Powietrze morskie dlatego jest gęstsze, że podlega większemu ciśnieniu, a odwrotnie, na górach jest rzadkiem, z powodu, że ciśnienie jest mniejsze. Skutkiem tego w powietrzu morskiem w pewnej danej objętości zawiera się więcej tlenu, aniżeli w miejscowościach wysoko położonych: płuca więc, oddychając, w pewnej liczbie oddechów otrzymują znacznie większą ilość tego ożywczego gazu, aniżeli w takiejsamej liczbie oddechów w innej, wyżej położonej, miejscowości lądu stałego.

Najważniejszem jednakże jest to, że powietrze morskie nie jest zanieczyszczone wylęciami zwierząt i ludzi, wydzielinami z fabryk i t. p. Powietrze morskie jest idealnie czyste, nie zawiera miazmatów, i tu mieści się głównie jego dodatni wpływ na zdrowie. Wprawdzie cząsteczki soli, znajdujące się w niem, oddziałują również korzystnie, lecz powtarzamy raz jeszcze: główną zaletą jest jego czystość. Dodać jeszcze musimy, że w powietrzu morskiem znajduje się większa ilość ozonu niż w lądowym, — co doskonale wpływa na niszczenie wywołujących się przygniciu gazów; że posiada znacznie mniej kwasu węglanego i wreszcie, skutkiem ciągłego parowania tak wielkiej masy wody jest wilgotniejsze.

Własności te powietrza morskiego sprawiają, że ono już samo bez kąpeli, wywrzeć może korzystny wpływ na zdrowie, potęguje bowiem w znacznym stopniu przemianę pierwiastków w organizmie, sprawia, iż odżywianie wymaga się i dla tego pobyt nad morzem dobrze działa we wszystkich wypadkach, w których chodzi o wzmożenie działalności wszystkich spraw życiowych. A czyje to sprawy życiowe w dzisiejszych czasach nie podległy, chociażby w pewnym stopniu, zaburzeniom? kto dziś, bądź to skutkiem nadmiernej pracy, bądź skutkiem nadużyć, nie szarpnął chociażby jednej z owych funkcji albo nawet kilku odrazu? Dlatego-to z każdym rokiem coraz więcej osób jeździ do kąpeli morskich. Oddychanie przez miesiąc lub sześć tygodni powietrzem morskiem odświeża organizm i nadaje mu możność pracowania przez jedenaście miesięcy z większą energią. Powietrze morskie prawie wszyscy znoszą bardzo dobrze; nie zaleca się go jedynie osobom chorym na suchoty płucne, i to tylko w późniejszych okresach, jak również osobom, dotkniętym chronicznem cierpieniem krtani, nadmiarę wrażliwym i nerwowym. Pobyt nad morzem wywiera jeszcze daleko korzystniejszy wpływ, gdy brać kąpiele.

Człowiek, wchodząc do wody, doznaje w pierwszej chwili uczucia zimna, kołatania serca i zaparcia oddechu; wkrótce jednakże, — zwłaszcza, gdy kąpiel nie trwa zbyt długo, — występuje pokrzepiające uczucie ciepła, swoboda w ruchach i zwiększenie apetytu.

Skutkiem kąpeli morskich zwiększa się przeziw skóry; krew krąży szybciej skutkiem podrażnienia nerwów, co dodatnio oddziałuje na wszystkie funkcje organizmu; przemiana pierwiastków wchodzi w żywsze tempo, a temsamem odżywianie staje się dokładniejszym.

Bardzo często po pierwszej kąpeli doznaje się nieprzyjemnego uczucia: bólu i zawrotu głowy, ogólnej ociężałości i t. p. Objawy te jednakże znikają bardzo prędko. Następuje wkrótce oddziaływanie (reakcja), t. j. uczucie przyjemnego ciepła, zwiększenie apetytu, wzmożenie sił —

a przy następnych kąpielach owe nieprzyjemne przypadłości zazwyczaj się już nie powtarzają.

Kąpiący się w morzu powinni zachować pewne ostrożności. I tak: nie należy nigdy rozpoczynać kąpeli w dniu przybycia nad morze, lecz dzień, albo nawet dwa, wypocząć. Kąpać się w morzu najwłaściwiej od 15 Lipca do 1 Września; po tym terminie dozwolone być mogą kąpiele jedynie bardzo silnym organizmom. Co do godziny, to najwłaściwiej od 7-iej do 11-iej zrana, dla większej części kąpiących się, osoby zaś słabowite i dzieci powinny się kąpać w południe.

A teraz jedna z najważniejszych kwestyi, mianowicie: jak długo pozostawać należy w wodzie? Czas ów zależy jest od stanu zdrowia chorego i dlatego, gdy kto w celach leczniczych bierze kąpiele morskie, czas oznaczyć powinien sam lekarz. Co zaś do kąpiących się w celach higienicznych to czas przebywania w wodzie zależnym jest od ciałałożu, temperamentu, wrażliwości, od wieku, od osłabienia skutkiem przebytych chorób, wreszcie od siły oddziaływania po kąpeli i t. p. Stosownie do tego wystarcza jedno do dwóch zanurzeń, albo też pobyt w wodzie przedłużać się może od 1 do 5 minut, od 10 do 20 a nawet do pół godziny. Zbyt długie przebywanie w wodzie powodować może bóle głowy, kataraty oskrzeli, nerwoból kulszowy, kołatanie serca, spazm krtani (zwłaszcza u hysteryczek) i t. p.

Sezon kąpielowy nad morzem trwa 21 do 25 dni, przychem bierze się zazwyczaj jedną kąpiel zrana. Gdy kto kąpie się dwa razy, wtedy czas jednej kąpeli od drugiej powinien być, o ile możności, jak najbardziej odległym, a to w celu, aby wpływ pierwotny drugiej kąpeli nie wywierał swego działania w chwili, gdy jeszcze trwa wpływ końcowy pierwszej. Osoby dotknięte bladaczką, kaszlem, hypochondryą, skłonne do zapalenia gardła, przewodów usznych — nie powinny brać kąpeli dwa razy dziennie.

Nie należy nigdy ochładzać się zbyt przed wejściem do wody, albowiem oddziaływanie będzie żadne albo niezupełne, a wiemy, że właśnie owa reakcja jest jednym z najsilniej działających czynników w zimnych kąpielach.

Sposobów brania kąpeli jest kilka. Nie będziemy ich tu wymieniać; powiemy tylko, że wszystkie zastąpione są doskonale przez pływanie, które owiele wzmacnia wpływ kąpeli morskich.

Wielce niehigienicznym jest kąpanie się w kostiumach, a prócz tego wpływ kąpeli zostaje o wiele zmniejszonym. Co innego zupełnie gdy fale uderzają wprost o skórę, a co innego, gdy między niemi a skórą znajduje się jakiś pięknie ufarbowany materyał. Jedynie włosy chronić wypada od zamoknięcia za pośrednictwem nieprzemakalnego pokrycia głowy, przekonano się bowiem, że wpływ wody morskiej na włosy nie jest korzystnym.

Wreszcie, aby kąpiele wywarły wpływ korzystny, niezbędnem jest żywienie się posiłkami pokarmami. Mięsa, jaj, wina, piwa jaknajwięcej; dalej — używać wypada przechadzek i ćwiczeń na otwartem powietrzu. Osoby przebywające nad morzem posiadają zazwyczaj dobry apetyt, tak, że mogą przyswajając znacznie więcej pokarmów, niż w zwykłych warunkach, a również i przechadzki odbywają się z łatwością.

Wypada teraz przyrzedzić się: w jakich chorobach głównie stosować należy leczenie kąpielami morskimi i komu wzbronione są jako czynnik higieniczny?

Doskonały wpływ wywierają kąpiele morskie na osoby dotknięte cierpieniami *skrofalicznymi* zwłaszcza lżejszemi formami, objawiającemi się obrzękiem gruczołów limfatycznych, częstemi katarami nosa, skłonnością do zaziębień; w późniejszych formach, gdy już przyszło do *przeciwskazane*, to jest wzbronione.

Przeciwno *chorobie angielskiej* kąpiele morskie są jednym z najpotężniejszych czynników. Indywidua o krzywych nogach lub rękach, o zmienionej formie klatki piersiowej, skutkiem tego, że kości u nich są zbyt miękkie, doznają po kuracyi kąpielami morskimi i znakomitej poprawy, lub

nawet szybko powracają w zupełności do zdrowia.

Cudownym środkiem są kąpiele morskie dla młodych panienek, dotkniętych *bladaczką lub niedokrewnością*, zwłaszcza gdy choroba bierze początek w wadliwym odżywianiu organizmu. Bardzo często kilka tygodni pobytu w miejscowości nad morzem przekształca najzupełniej słabowite, o bladej skórze, białych błonach śluzowych, wiotkich mięśniach dziewczę w zdrętwiałą tego wyglądającą pannę. W podobnych razach jednakże trzeba ściśle zachowywać przepisy higieniczne, przede wszystkim udać się w miejscowość zaciszną, gdzie mało *reunionów* i tańców, gdzie nie potrzeba trzy razy dziennie zmieniać ubrania, cały dzień chodzić w krępującym gorsecie, gdzie można dobrze zjeść, swobodnie się wykapać i wywczasować.

Kąpiele morskie dalej wskazane są w wielu *zaburzeniach przewodów pokarmowych*, zwłaszcza charakteru nerwowego, w ogólnym osłabieniu organizmu, w lżejszych formach *bezwoładów* i w tak dziś rozpowszechnionej *niemocy nerwowej*.

Są istoty, które nie mogą przewyciężyć bojaźni do morza, tu należą słabowite dzieci, osoby nerwowe i hysteryczne. Tacy chorzy powinni brać kąpiele morskie ciepłe, w wannie. Działają one podobnie jak kąpiele słone, naturalnie, o tyle silniej, o ile oddycha się pysznym morskim powietrzem.

Wzbroniony jest pobyt nad morzem i branie kąpiele morskich osobom, które od dawniejszego czasu kaszlą, dotknięte są przewlekłymi cierpieniami krtani, suchotami płucnymi w późniejszych okresach, wadami serca, a także — osobom o wielowrażliwości nerwowej.

Pozatem, każdy człowiek może z korzyścią przepędzić kilka letnich tygodni nad morzem, a odświeżyć się z pewnością i z większą energią pracować będzie przez rok cały.

Najbogatszem w sól jest Morze Śródziemne, Bałtyckie zaś — najuboższem. Atlantyk i Morze Północne zajmują między nimi środkowe miejsce.

Potrzeba jeszcze przyjrzeć się ważniejszym miejscowościom, gdzie można odbyć kurację kąpielami morskimi, a do których od nas, niestety, bardzo daleko:

Helgoland, wysepka Morza Północnego, należąca do Anglii, oddalona o 9 godzin jazdy statkiem od Hamburga, utworzona ze skał prawie prostopadłych, mająca 13.800 stóp obwodu; podobna jest do olbrzymiego okrętu. Na Helgolondzie można się rozkoszować dowoli pysznem, idealnie czystym powietrzem morskim. Średnia temperatura wody wynosi od 14 do 15° R. a uderzenia fali są bardzo silne. To też kąpiele na Helgolondzie właściwsze są dla mężczyzn, niż dla kobiet, osobiście nerwowych. Helgoland jest bez zaprzeczenia jednym z najlepszych miejsc, gdzie można odbyć doskonałą kurację kąpielami morskimi, pod wszystkimi względami, a przede wszystkim, że kąpać się można bez kosztymów.

Norderney posiada podobne przymioty jak Helgoland, kąpiele również odosobnione, a więc można się kąpać bez odzieży, temperatura wody nieco wyższa, a i uderzenie fali nie tak silne. Wyspa *Norderney* odległa jest od *Norden* na lądzie o 3 godziny jazdy.

Scheveningen w Hollandyi, śliczna miejscowość, połączona z Hagą lesistym spacerem. Fale są dosyć silne a brzeg morski piaszczysty.

Ostenda. Jedna z najbardziej uczęszczanych miejscowości kąpielowych. Wyznać należy, że

zarówno natura jak i zarząd kąpielowy zrobiły tu wszystko, aby można odbyć pomyślną kurację kąpielami morskimi. Pobyt nadzwyczaj przyjemny, uderzenie fali bardzo silne, domy położone nad samem morzem, ale... bardzo często na przeszkodzie staje moda. Dlatego też *Ostenda* jest przepyszny miejscem dla osób pragnących odpocząć i zabawić się, gdy jednakże idzie o przeprowadzenie ścisłej kuracji, daleko właściwiej udać do mniej sztywnej miejscowości, a skutek stanowczo będzie szybszy i trwalszy.

Pomijamy opis kąpiele morskich francuzkich, hiszpańskich, włoskich i angielskich, a wymienimy tu jeszcze:

Kołobrzeg (Colberg) w Pomeranii gdzie znajdują się także źródła słone; *Sobot* (Zoppott) na pomorzu kaszubskim w pobliżu Gdańska, przesłiczna leśnista miejscowość nad samym brzegiem morza, urocze przechadzki, szkoda tylko, że woda zawiera tu znacznie mniej soli, z powodu ujścia rzek a także i uderzenie fali jest znacznie słabsze. Tosamo można powiedzieć o *Kole* (Crantz) położonem w bliskości Królewca.

Dr. J. S.

Z bieżącej chwili.

— **Petersburskie Towarzystwo Wstrzemięzliwości** otrzymało zatwierdzenie rządowe ustawy swojej. Celem Towarzystwa jest zakładanie herbaciarni i czytelni ludowych, leczenie nałogowych pijaków, rozpowszechnianie broszur odpowiedniej treści, oraz urządzenie dla ludu rozrywek i pogadanek działających przeciw pijaństwu.

— **W Petersburgu** zawiązało się towarzystwo kassy, specjalnie przeznaczonej do wydawania pożyczek na cele artystyczne.

— **Znaj co swoje** to tytuł seryi książeczek, które redakcja „Przeglądu Tygodniowego“ zamierza wydawać. Mieścić się tu będą dziełka: „Podróż nad Gopło“, „Letnie Mieszkania“, „Szwajcarya Polska“, „Góry Świętokrzyskie“, „Z nurtem Wisły“, „W krainie wielkich jezior“, „W państwie czarnych dyamentów“, „Bug i Narew“, „Stare Zamczyska“, „Kurpie“, „Zebracy w Polsce“, „Na jarmarkach“ i, jak pisze wspomniona redakcja — wiele innych.

— **Budowa kościoła na Pradze** rozpocznie się nowo z d. 5 Maja, to j. Ś-go Floryana. pod którego wezwaniem kościół ten wznosi się na historycznym gruncie. Składki wpływają dość powolnie.

— **Wydawnictwo Słownika Geograficznego** zabezpieczone zostało przez zapis, jakim zmarły Wład. Walewski przekazał prawa swoje do tego dzieła Kassie im. Mianowskiego z zastrzeżeniem, aby instytucja ta wydała ostatnie trzy tomy *Słownika*. Spadkobiercy zmarłego zamierzają po części złożyć Kassie fundusz potrzebny na to.

— **Nowe Pismo**: „Wiadomości higieniczne“, wychodzić zacznie od d. 1-go Lipca b. r. redakto-rem głównym będzie Dr. Gustaw Fritsche. Pożyteczności tego pisma i ważności jego dla rodzin, dowodzić nie potrzeba. Będzie to miesięcznik.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** podaje wiadomość o wakansie na stypendyum imienia Mikołaja Kopernika w kwocie 104 rs. dla młodzieńca urodzo-

nego w Królestwie Polskiem bez różnicy wyznania i pochodzenia, liczącego nie mniej niż 16, nie więcej jak 21 lat wieku i pragnącego się kształcić w kraju lub zagranicą. Pierwszeństwo mają kandydaci nie pobierający innego stypendyum. Najpóźniej do d. 20 Maja ubiegający się o to stypendyum powinni złożyć: Metrykę urodzenia, świadectwo niezamożności, świadectwo pobierania nauk w zakładzie naukowym sztuk pięknych, studyum, poświadczone przez zwierzchność szkolną, iż jest wykonane przez kandydata. Przebywający zagranicą powinni dołączyć, oprócz wymienionych dowodów, świadectwo naczelnika gubernii o pozyskaniu paszportu na wyjazd zagranicę.

— **Stanley** przybył do Europy witany z wielkimi honorami. Uroczyście przyjmowany we Włoszech, podobne przyjęcie miał zgotowane sobie w Belgii. Król wysłał deputacją witającą go na granicy, kolej państwową ofiarowała mu osobny wagon. W Londynie osoba jego zajmuje polityczne koła. Krążą pogłoski, że królowa ofiaruje mu posadę kommissarza angielskiego we wschodnich i zachodnich Indjach z wielką pensją i władzą dyktatorską działania na rzecz Anglii. Tymczasem publiczność angielska oczekuje ciekawie książki, napisanej przez Stanleya a mającej wyjść z pod prasy drukarskiej w Maju. Wydawnicza spółka: Sampson Law, Mayton et Comp. zapłaciła za rękopism o ogromną sumę 40 000 funt. sterlingów. Tytuł jest „In darkest Afrycca“, dzieło ma obejmować dwa tomy w ósemce o 500 stronnicach, ozdobionych ilustracyami według rysunków samego Stanleya, których wykonanie powierzono najlepszym angielskim i francuzkim rysownikom i rytownikom. W zwykłej edycji będzie dzieło to kosztować 2 funt. sterlingi i 3 szylingi, w edycji zbytkowej cena będzie 10 funt. (100 franków) Zamówionych jest już 800 exemplarzy tej kosztownej edycji.

— **Emigracja za morze** ludności rolniczej w W. ks. Poznańskim i w Prusach Zachodnich zwiększa się z powodu nieurodzaju zeszłorocznego. W ciągu dwóch pierwszych miesięcy roku b. opuściło kraj rodzinny 1.600 osób.

— **W Krakowie** zawiązała się filia towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, na prezesa wybranym został Dr. Szajnocha.

— **Przed trzydziestu laty** zapisaną została *Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych* przez Piotra Fiorentiniego galeria obrazów z warunkiem, aby pomieszczoną była w salach otwartych zawsze i przystępnych dla ogółu zwiedzających, wytwarzając w ten sposób galeria publiczną, której powiększenia przez dary artystów i osób prywatnych spadkobierca się spodziewał. Przeciwnie, gdy *Szkola Sztuk Pięknych* przestała istnieć i obrazy, usunięte z sal, które przy niej zajmowały, zostały zamknięte w pakach, w których dotąd pozostają, rodzina spadkodawcy wystąpiła przed sądy o zwrot legatu, skoro testament według woli testatora wykonany nie jest. Sprawę prowadzi adwokat Dziewulski.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

TREŚĆ: Majątek przez M. Ilnicką. — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Ruch muzyczny przez Juliusza Stattlera. — Z ziemi świętej (dalszy ciąg). — Nowiny Paryżkie. — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej. Kąpiele morskie, przez Dr. J. S. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — Przegląd mód. — 29 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycja stołu**.